

ANDRZEJ MARKOWSKI
Instytut Języka Polskiego UW

O JĘZYKU DZIENNIKA MARII DĄBROWSKIEJ

„Dla Doroszewskiego mam bardzo dużo sympatii i jako dla uczonego, i jako dla człowieka (notabene — bardzo pięknej urody), ale przy bliższym zetknięciu się stwierdzam, że pisarzom lepiej trzymać się od językoznawców z daleka”.
(2 II 1951)

Ten, nieco uszczypliwy, sąd Marii Dąbrowskiej o relacjach między pisarzami a językoznawcami nie musi być — na szczęście — sądem prawdziwym „w obie strony”. O ile bowiem pisarz może nawet ignorować istnienie językoznawców i wyniki ich prac badawczych (co zresztą w wypadku Marii Dąbrowskiej, jak świadczy kilka całkiem dużych notatek w jej dzienniku, nie nastąpiło¹), o tyle językoznawca, zajmujący się polszczyzną XX wieku nie może w swych dociekaniach nie uwzględniać tekstów literackich. Na ogół analizuje się przy tym język tekstów beletrystycznych — prozatorskich i poetyckich, choć zdarzają się też opracowania dotyczące języka i stylu pamiętników wybitnych pisarzy². Zwłaszcza to ostatnie przedsięwzięcie badawcze jest płodne dla poznania pewnej odmiany języka epoki, a przyjmuje się przy tym założenie, że polszczyzna twórcy dzieł literackich występująca w jego tekstach nieliterackich to język używany świadomie, starannie i w znacznej mierze charakterystyczny dla danego okresu.

Uwagi poniższe — wstępne i wymagające weryfikacji po szczegółowej analizie bogatego materiału badawczego — dotyczą języka całego dziennika Marii

Adres do korespondencji: IJP UW, Wydział Polonistyki, 00-927 Warszawa, Krakowskie Przedmieście 26/28

¹ Będzie o tym mowa w dalszej części tego opracowania.

² Por. np. artykuły Haliny Kurkowskiej o języku *Dzienników* Stefana Żeromskiego: *Młody Żeromski a język rosyjski* (w: *Stefan Żeromski. W pięćdziesiątą rocznicę śmierci*, Zbigniew Goliński [red.], Czytelnik, Warszawa 1977) oraz *Charakterystyka socjolingwistyczna polszczyzny Żeromskiego* (w: *Żeromski i Reymont*, Jan Detko [red.], PWN, Warszawa 1978).

Dąbrowskiej, bez jakichkolwiek skrótów czy opuszczeń, czyli tekstów pisanych od roku 1914 do 1965³.

Zgadzam się z tymi badaczami, którzy określają dziennik Marii Dąbrowskiej jako dzieło jej życia, pisane — a w pewnych (jak postaram się udowodnić — dużych) partiach także konstruowane — świadomie, z założeniem, że będzie ono kiedyś, w przyszłości, poddane osądowi czytelników. Świadczy o tym choćby fakt, że autorka do końca życia przepisywała na maszynie notatki wcześniejsze (zdążyła przepisać teksty powstałe do roku 1958), nieco skracając pewne fragmenty, do czego sama się przyznawała, kiedy odnotowywała przepisywanie dawnych partii dziennika. Zapewne też w jakimś (choć jednak chyba niewielkim) stopniu „uładzała” je językowo (można to także wywnioskować z zapisów dziennikowych). Wyraźnie z myślą o przyszłych czytelnikach są pisane fragmenty o charakterze pamiętnika: w 1943 r., gdy Dąbrowska przepisywała dzienniki okresu pierwszej wojny światowej i dwudziestolecia międzywojennego, uznała za stosowne dać obszernie, liczące łącznie niemal sto stron wydruku komputerowego, uzupełnienia dzienników za lata 1917–1935⁴. Z fragmentami o charakterze pamiętnika mamy zresztą do czynienia i w dziennikach z następnych lat, kiedy to po przerwie kilkutygodniowej, a czasem nawet kilkumiesięcznej, autorka zdaje relację z wydarzeń owych tygodni czy miesięcy, gdy nie robiła codziennych notatek.

Skoro zaś należy przyjąć, że autorka co najmniej liczyła się z możliwością opublikowania swojego dziennika (choć uzasadniona jest także teza, że w ogóle pisała tekst z założeniem jego publikacji po śmierci), to sensowne staje się pytanie o to, w jakim stopniu świadomie kształtowała język tego dzieła, w jakim zaś było to pisanie spontaniczne, niekontrolowane pod względem używanych środków językowych i stylistycznych. Rodzi się więc pytanie o to, czy Dąbrowska posługiwała się językiem celowo tak, by jak najskuteczniej przekazywać określone treści. Próba dania rzetelnej odpowiedzi na to pytanie (a nie może to być — w moim odczuciu i przekonaniu — stwierdzenie „tak” lub „nie”, lecz powinno to być uzasadnienie zawierające analizę kontekstów czasowych, sytuacyjnych, towarzyskich i jeszcze innych, które wpływały na świadomość językową autorki) może się stać jednym z powodów podjęcia analiz językowych dzienników Marii Dąbrowskiej.

³ Tekst czytałem z komputeropisu, udostępnionego przez prof. Tadeusza Drewnowskiego. Według jego obliczeń w tym tekście 55% stanowią fragmenty dotąd niepublikowane w dwóch (okrojonych) wydaniach *Dzienników*. Lektura pełnego tekstu dzienników i ich ocena przez czterech naukowców (historyka, historyka kultury, literaturoznawcę i językoznawcę) miała stać się podstawą decyzji o tym, czy opublikować całość dzieła w limitowanym nakładzie, dla celów naukowych i dokumentacyjnych.

⁴ Są one zatytułowane kolejno: „Dopełnienie raptularzyka za lata 1917–1918”, „Uzupełnienie notatek z okresu od 30 X 1919 do 1 I 1927”, „Dopełnienie raptularzyka za okres 1926–1928” i „Uzupełnienie raptularzyków za lata 1929–1935”.

Sprawa ta wbrew pozorom nie jest bowiem marginalna: dotyczy warsztatu pisarskiego twórcy literatury niefabularnej, ale jednak komponowanej. Prowadzi na przykład do szukania odpowiedzi na pytanie o to, jak osiągnąć „kontrolowaną spontaniczność” języka dziennika, czyli — mocno upraszczając — jak (na)писаć dziennik tak, by świadomie za pomocą języka kreować pewną wizję opisywanej rzeczywistości, w tym swoją pozycję i swoje sądy w tym opisie, tak by czytelnik był przekonany o naturalności, spontaniczności przekazu, a w rezultacie — by ulegał owej autorskiej wersji oceny rzeczywistości. Mielibyśmy wówczas do czynienia z ukrytą funkcją impresywną (perswazyjną) tekstu, przekazaną w formie wskazującej „na zewnątrz” na jego funkcję informacyjną (komunikatywną). Gdyby tak było, zadaniem badacza stałoby się ukazanie mechanizmów tego zabiegu i zakresu osiągniętych rezultatów. Zejdźmy do poziomu szczegółu. W notatce z dnia 21 I 1951 r. Dąbrowska pisze:

W Pałacu Staszycza⁵ ciągle remont, prawie nie widać, żeby się coś naprzód posunęło. Zebranie w mniejszej sali „kolumnowej”, tłok nieprawdopodobny, zauważyłam bardzo dużo młodzieży. Jest więc jeszcze taka młodzież, co przychodzi na Borowego. Pierwsze rzędy krzeseł stały w pobliżu ogromnej wielkości krągłego mahoniowego stołu, przy którym — krzesła dla prezydium. Z tego rzędu zauważyła mnie Małynczówna i wykiwała z kąta przy drzwiach. Ponieważ zapraszał mnie i któryś z profesorów — przecisnęłam się ku nim. Po drodze minęłam ospałą figurę Żółkiewskiego, który zatruł swoimi napaściami ostatnie lata życia Borowego, a potem zasiadł swą tłustą dupą na katedrze tego wielkiego uczonego.

To, że Małynczówna Dąbrowską „wykiwała z kąta przy drzwiach”, to znaczy kiwaniem przywołała do siebie, jest niewątpliwie zapisem spontanicznym; Dąbrowska zapisała takie sformułowanie, gdyż było ono w jej idiolekcie, a w podobnym znaczeniu występowało także w polszczyźnie XIX i pierwszej połowy XX wieku; w *Słowniku warszawskim* czytamy: „wykiwać [...] wykiwnąć «kiwaniem, kiwnięciem wyruszyć z miejsca»”. Czy natomiast zupełnie spontaniczna jest charakterystyka Stefana Żółkiewskiego — nad tym należy się zastanowić. Może bowiem być tak, że jest to zapis wynikający z niechęci do tego człowieka i o niczym innym nieświadczący, może być jednak i tak, że podkreślenie jednej cechy fizycznej naukowca, i to za pomocą dosadnego określenia, ma świadomie budować ocenę tej postaci nie tylko w oczach autorki, ale i u czytelnika⁶. To, która interpretacja jest właściwa, będzie możliwe do stwierdzenia dopiero po zestawieniu analogicznych sformułowań w innych zapisach dziennika, dotyczących osób z kręgu ówczesnego establishmentu, zwłaszcza zaś — aparatu partyjnego.

⁵ Pisownia, interpunkcja i język cytatów — zgodne z oryginałem, nic nie zostało zmienione ani poprawione.

⁶ Ta druga możliwość interpretacji jest wspierana także tym, że z określeniem „tłusta dupa” sąsiaduje, a i kontrastuje, epitet „wielki uczoney”, odniesiony do Wacława Borowego.

Pytanie o zasięg i stopień (czyli: w jakiej mierze i „do jakiej głębokości” organizacji wewnętrznej środków językowych) świadomego i celowego używania języka w dzienniku Dąbrowskiej narzuca się już przy pierwszej lekturze tekstu, a pogłębia przy czytaniu powtórny i kolejnych odczytaniach, choćby tylko fragmentów dzieła. Otóż uderza — a dotyczy to zwłaszcza partii dziennika od lat pięćdziesiątych — dobre, czasem doskonałe zharmonizowanie języka z przekazywanymi treściami. Dąbrowska stosuje w dzienniku różnorodne formy podawcze (co zostanie zanalizowane poniżej), a do każdej z nich dobiera środki językowe tak, że język fragmentów określonego rodzaju staje się „przezroczysty”, chyba że autorka sama celowo zwraca na niego uwagę. Widać także doskonalenie języka dziennika, a analiza tego procesu (poniżej zostanie on tylko zasygnalizowany) powinna stanowić przedmiot oddzielnego studium językowo-stylistycznego.

Widoczna już w partiach powstałych w drugiej połowie lat trzydziestych, a zwłaszcza w notatkach powojennych, swoboda językowa, sprzyjająca potoczności, płynności tekstu, każe się zastanowić nad wpływem języka utworów fabularnych (tu przede wszystkim *Nocy i dni*) na język dzienników, choćby w kontekście kształtowania sprawności narracji. Poza tym, jak wiadomo, Maria Dąbrowska uważała, że jej ważnym wkładem w literaturę polską jest odświeżenie języka tej literatury przez „specjalne używanie potocznego języka”⁷, nie będzie więc nieuprawomocniona teza, że „specjalne używanie języka”, nie tylko potocznego, było zamierzeniem twórczyni kolejnych kart dziennika.

Być może zresztą nie było tak od początku. Język zapisów, tak jak i sposób zapisywania, zmienia się bowiem dość znacznie od roku 1914 (pierwsze notatki) do połowy lat sześćdziesiątych.

Można przyjąć, że zapisy z lat pierwszej wojny światowej i chyba gdzieś do połowy lat dwudziestych (z pewnymi wyjątkami⁸) są spontaniczne, a ich forma językowa, choć zazwyczaj adekwatna do treści, nie jest zawczasu przemyślana. Są to z zasady notatki z codziennych wydarzeń, przybierające często formę równoważników zdań, wypełnione słownictwem codziennym, bytowym, na przykład:

2 Sierpień. [1914] Niedziela. Trzeci dzień mobilizacji. Odjazd Żandarmów. Ostatnie pociągi. Grabież magazynów kolejowych. O 4-tej rano wysadzanie minami weksła, wodociągów i wiaduktu. Rano kręcą się kozacy, jeden szuka generała na podwórzu w Sabinowie.
[...]

⁷ „Kaden miał rację. W literaturze — jak w każdej twórczości liczą się tylko wynalazcy — Mnie się zdawało, że ja wynalazłam dwie rzeczy: specjalne używanie potocznego języka i żywość postaci sympatycznych — ludzi dobrych — Ale języka nikt nie zauważył (prócz Przybosa) a żywość i komunikatywność postaci dobrych — wynalazł przede mną Dickens” (8 XII 1958).

⁸ Takim wyjątkowo rozbudowanym zapisem jest tekst z 16 XI 1916 opisujący bytność Józefa Piłsudskiego w Lublinie.

17/XI [1914] Wtorek. Dzień pamiętny. O piątej Władek (podwórzowy) przyszedł budzić, że blisko strzelają. W istocie wyraźnie strzały słyhać ze wszystkich stron do 4-tej popołudniu. Zaczęła się wielka bitwa na froncie Częstochowa–Kraków. Cały dzień drobny deszcz.

[...]

12/III [1915] Piątek. Marjan zaziębiony leży. Zbliża się odwilż. Rano było dwu austriackich oficerów po świnie i kury. Nie dostali nic, a jak się potem okazało, byli bezprawnie. Wzięli krowę i świnie chlōpom na Dzbowie. Niemiecka żandarmerja wdroszyła śledztwo.

Zupełnie innym językiem są opisane wydarzenia z tego samego okresu, ale przedstawione ćwierć wieku później, jako uzupełnienie pamiętnikarskie, zrobione w roku 1942, podczas przepisywania dziennika. Tu mamy już świadomy kształt stylistyczny, tekst ujęty w rozbudowane zdania, z wyraźnymi elementami oceniającymi, na przykład:

Aby zakończyć ostatecznie z notatkami raptularzyka sierpień–marzec 1914–15 opiszę jeszcze moją podróż ku Warszawie w październiku 1914-go roku. Odnosi się to do tego mojego wyjazdu z Sabinowa, który p. Białkowski zanotował pod datą 10 października. Wyjazd nastąpił niespodzianie, gdyż początkowo Marjan ani słyszeć nie chciał, bym narażała się na tę ryzykowną podróż, mimo że z Warszawy do Częstochowy przybyłam bez szwanku i bez żadnego narażania się. [...] Chociaż z różnych względów miałam chęć powrócić do Warszawy, ale jeszcze bardziej pragnęłam pozostać z Marjanem, to też uległam w końcu jego perswazjom. Wytworzyły się jednak okoliczności, które zmieniły postawę Marjana wobec sprawy mojego wyjazdu. Mianowicie ob. Aleksandra Szczerbińska (późniejsza Piłsudska) zwróciła się do niego z wiadomością, że z rozkazu Komendanta trzeba natychmiast z pewnymi zleceniami wyruszyć do Warszawy. Jadą już w tym celu dwie inne „niewiasty”, ale że przejście frontu nie jest już teraz takie łatwe — należy dla pewności wysłać trzecią. Ponieważ Marjan wspominał jej był, że ja się wybieram do Warszawy, zapytała, czy bym [dwa słowa skreślone] nie przyjęła tego zlecenia. Pojmowaliśmy wtedy naszą służbę bardzo serjo, a choć ja zawsze i wszędzie byłam tylko „luzakiem” i dyletantem, przecie chciałam się do czegoś przydać, a dla Marjana rozkaz Komendanta był świętym. To też zakomunikował mi życzenie p. Aleksandry, ja natychmiast i bez wahania się zgodziłam, a on nie śmiał się już sprzeciwić. Dla zapoznania się z t.zw. obywatelką Olą, spotkaliśmy się z nią w cukierni w Częstochowie. O rzeczy właściwej wtedy się jednak nie mówiło, była w tej cukierni i Zośka Poniatowska i wtedy to powzięła swe zabawne uczucie zazdrości o domniemaną konieczność zakochania się p. Juliusza w nieznanym mi zupełnie pani Oli. Co do mnie, choć z wyglądu p. Ola mi się raczej podobała, [kilka słów skreślonych] nużyła mnie trochę jej słaba ekspresja słowna i zastępowanie brakujących zwrotów często powtarzanym słówkiem „wiecie... wiecie”.

Można zaobserwować w tym fragmencie używanie elementów stylu starannego obok wyrazów potocznych i zawodowych (z gwary konspiracyjnej). Mamy więc z jednej strony wypracowane językowo zdania, takie jak: „Chociaż z różnych względów miałam chęć powrócić do Warszawy, ale jeszcze bardziej

pragnęłam pozostać z Marjanem, to też uległam w końcu jego perswazjom. Wytworzyły się jednak okoliczności, które zmieniły postawę Marjana wobec sprawy mojego wyjazdu”, a z drugiej (ujęte wprawdzie w cudzysłów lub poprzedzone skrótem „tzw.”) — określenia: „byłam tylko «luzakiem» i dyletan-tem” oraz: „dla zapoznania się z t.zw. obywatelką Olą”, czy potoczną formę imienia przyjaciółki: „Zośka”.

Notatki z pierwszej połowy lat dwudziestych są bardziej rozbudowane, zawierają elementy oceniające i wartościujące. Obok opisów rzeczywistości zewnętrznej pojawiają się opisy stanów i przeżyć wewnętrznych, a także rozważania natury ogólniejszej (prawie filozoficzne). Zdania nie są bardzo długie, pisane jednak w manierze zbliżonej do języka utworów młodopolskich, przypominają nieco styl Żeromskiego:

3 I [1923] Wrażenie z jazdy na pociąg w Białymstoku, kiedy wracałam od Jadzi i Mamusi. Miasto zanurzone w mokrej ciemności jak w atramencie. Domy zamazane wilgotną czernią miały fronty wysunięte pod światło latarń jak wycinanki zielone, żółte, białe. Biały mur cmentarza, świetliściejąca po nocy szeroka polska brama. Dalej jechało się nad torami, pełnymi zwrotnic, skropionych różnobarwnymi latarenkami.

11 II 23. Byłam w Łazienkach w śnieg. Na krzakach chlapnięcia białej piany śniegu. Gałęzie w białej otoce. Badyle w krezach szronu. Popielata gmatwanina gałęzi, jak splątane ciemne nici. Mętne opalizujące mgły. Cisza. Z za ogrodu miasto hałasuje takim szelestem jak rzeka pełna kry.

4 III [1923] Najzwyczajni ludzie mają intymne talenty, które zabłyskują tylko dla najbliższych i gasną potem dla wszystkich. W towarzystwie Matki i rodzeństwa umiem ładnie śpiewać, miło i czarująco opowiadać...

Moim nieszczęściem jest, że nigdy nie jestem zupełnie pewna, czy w każdym wypadku postąpiłam tak, jak właśnie było trzeba. Tysiące możliwości, wyborów nasuwa się jako jedyne konieczne rozwiązanie każdego momentu życia. Zazdroszczę ludziom, którzy mają zawsze niezachwianą pewność swego wyboru. Ale cóż, kiedy tę cechę spotykam zawsze u ludzi głupich, niedobrych, oschłych i o bardzo małej wartości.

27 III [1923] Była pani Marylka Sobańska. Rozmawialiśmy o szczerości. Zagadnienie, które ostatecznie wszystkich nas tak bardzo obchodzi. Do szczerości dojść bardzo trudno, ale gdy się do niej dojdzie, jakże łatwo — łatwiej niż wszystko — można jej nadużyć. Ostatecznie za cenę szczerości można się z góry rozgrzeszyć ze wszystkiego złego, które się robi. To robią Rosjanie. P. Sobańska mówiła wcale nie głupio, że szczerość jest czasem dowodem słabości. Człowiek sam nie może się uporać ze swoim grzechem, ponieść odpowiedzialności. (myślałam to nie jeden raz).

17 IV [1923] Źrenice w białych iskrach od lampy. Życie małżeńskie, tak już sponowane, przy dzisiejszym ukochaniu codzienności, nabiera nowych blasków

świeżego piękna. Radość napadła moje serce w te bure dni lipca [?], brzmiące hałasem przykrej niepogody.

19 VIII [1923] Przed bólem, rozpaczą, trwogą i zwątpieniem uratowały mnie nie chwile wśród ludzi spędzone, nie chwile tryumfów i powodzenia wśród zgiełku świata, ale chwile mojej płodnej samotności. Nie mam-że jej kochać najbardziej?

23 IX [1923] Samotność w pierwszej chwili gorzka jak piołun, szczególnie jeśli nastąpi — jak to było — po zaznaniu wszystkich rozkoszy najśladszego towarzystwa. Trzeba umieć przełknąć tę pierwszą gorzką chwilę, żeby się w następnych rozsmakować jak w rzadkiej dobrej potrawie. Jak bogatem jest życie, jak cudownym, jak bardzo nas obdarza. Jesień to najukochańsza dla mnie pora roku. Jesienią stały się wszystkie najlepsze rzeczy mojego życia. Tego roku wrzesień dał dwa tygodnie przerozkoszonej pogody. W taką jesienną pogodę Polska wygląda jak bogate południe.

Zwraca uwagę wielość przymiotników, używanych przede wszystkim jako środki leksykalne wprowadzające element wartościowania („wilgotna czerń”; „różnobarwne latarenki”; „mętne, opalizujące mgły”; „płodna samotność”) oraz mniej lub bardziej oryginalne porównania („miasto zanurzone w mokrej ciemności jak w atramencie”; „fronty wysunięte pod światło latarń jak wycinanki zielone, żółte, białe”; „samotność w pierwszej chwili gorzka jak piołun”) i metafory („biała piana śniegu”; „Radość napadła moje serce w te bure dni”), a nawet pytanie retoryczne w stylu młodopolskim („Nie mam-że jej kochać najbardziej?”). Poznanie języka wczesnych dzienników Dąbrowskiej i skonfrontowanie go z polszczyzną dzienników lat dojrzałych pozwala poznać ewolucję stylu pisarki i w pełni docenić tę formę językową, do której już wkrótce dojdzie.

Ewolucję języka opisu wydarzeń ekstremalnych w życiu pisarki, języka oddającego największe emocje, widać też doskonale w zapisach — za każdym razem dokonanych w kilka miesięcy po opisywanych faktach — mających za przedmiot rozpacz po utracie męża Mariana (1925 r.) i śmierć wieloletniego towarzysza życia, Stanisława Stempowskiego (1952 r.). Zapisy dotyczące pierwszej tragedii są bardzo ekspresywne, pojawiają się w kilkunastu wpisach dziennych, na przykład:

20 XII [1925] Mireńku, nic mnie nie obchodzi, co mówią i co piszą, ale niech ja piszę tak, żeby spulchniało, rozradowało się, urosło serce ludzi. W tym mi dopomóż mój najświętszy, najmilszy, najukochańszy chłopcze, gdziekolwiek jest, czymkolwiek jest...

Idę spać w tej ciszy naszego pustego mieszkania, która aż dzwoni w uszach. Dopiero trzy miesiące, a jeszcze całe życie...

[...]

14 II [1926]. A teraz jestem w domu i popadłam znowu w tak straszną rozpacz. Na co to życie, nie podtrzymywane Twoją obecnością. Umarłeś, a ja niegodna żyję i nie starczyło czasu, żebym ci dała dowód, że Cię Kocham i jak Cię Kocham, ja co Cię zdradzałam i teraz błagam o przebaczenie i niema komu przebaczyć

i miejsca po których byś stąpał bym całowała i wykłekiwałabym je i nie wiem jak żyć, uratuj mnie, ochroń, uczyni, żebym się stała wolna od wszystkich podłych zachceń, uczyni mnie, jakim ty byłeś, dopomóż, albo daj mi się z tobą złączyć moje najcudowniejsze ukochanie.

[...]

19 V [1926] W nocy. Obudziłam się w nocy. Chodzę po pokoju. Okno szeroko otwarte. Za oknem ciepła noc i słychać z pola Mokotowskiego głos przepiórki. Co ja zrobię z tą straszliwą ciszą, która po Tobie zaległa? Wspomniało mi się teraz, jak pod Matterhornem siedziałam na obrywie ponad śnieżną doliną, nad którą leciał czarny ptak. Mój Boże, jak wytrzymać, jak żyć. Jak zatamować to miejsce, z którego boleść bez końca ciecze jak krew... Jak je znaleźć to miejsce, któredy przedostają się te nieprzebrane strumienie płaczu. [...] Ty, dziecino, chłopcze ty byłeś jak opoka, na której można było wznieść kościół i wznieść miłość i wznieść wierność i wznieść Radość niebiańską Ty niezawodny nad wszystkich, ty jedyny na świecie, który nie miałeś w sercu zdrady, ty cały z ognia czystego i palącego, byłeś, całowałeś mnie, nie mogłeś się mną nigdy nasycić, a teraz cię niema. Niema żadnej możliwości wystowienia twego kochania, a teraz cię niema. A ja cię zdradzałam, trwoniłam... Podła, podła, podła...

[...]

4 VI [1926] Bardzo mi się znów życie splątało. Żebyś Ty mnie wywiódł z niego, choć w śmierć, byle do Ciebie. Życie mnie woła, woła, woła. I żeby to choć niweczyło moją mękę, moją tęsknotę do Ciebie, Ty niepowrotny, jaśniejący, chłopcze, mój chłopcze. Pocóż te nowe, pędy, liście, kwiaty, uczucia. Gdybyż być tak, jak pisałeś kiedyś że chciałbyś, żeby było — niczym, niczym na świecie, tylko sercem, bijącym w Twojej ręce, ręce, której już niema, niema, niema.

Zupełnie inny jest język opisu śmierci Stanisława Stempowskiego. Emocje, równie silne, jak te, które towarzyszyły śmierci męża, są wyrażone za pomocą bardzo oszczędnych środków językowych, nienoszących bezpośrednio cech ekspresywności:

Jest dzisiaj 6 kwietnia, ale piszę bez daty, bo już nie w formie dziennika, lecz raczej pamiętnikarskiej wypadnie zanotować tragiczne wydarzenia i oby ostatni już tak smutny przełom w moim życiu.

W piątek 11 stycznia 1952 roku około piątej rano umarł mi Stachno.

Około czwartej zbudziłam się i — jak to zawsze zresztą czyniłam odkąd siły St. zaczęły tak wyraźnie słabnąć — odrazu spojrzałam w jego drzwi [...]. Tym razem zobaczyłam to światło natychmiast, dziwnie jaskrawe — szeroką złotą smugę [...] Wyskoczyłam na równe nogi z łóżka, zarzuciłam szlafrok i weszłam do St. Leżał wsparty o wysoko jak zawsze spiętrzone poduszki — nie spał. „Żle się czujesz, kochanie?”. Odpowiedział niezwykle stanowczym, surowym tonem: „Tak”. „Czy boli?” „Boli, ale ból to nie taki wielki, można wytrzymać. Tylko tak dławi, dusi” [...].

Gładziłam go ręką po głowie — czoło miał strasznie spocone. „Najdroższy — prosiłam — czemu się tak rzucasz? To ci zaszkodzi. Zaraz przyjdzie doktor. Połóż się, kochanie”. „Nie mogę sobie jakoś miejsca znaleźć” — powiedział, ale położył się na wznak. Powiedział jeszcze dwa razy: „Tak bym chciał już umrzeć. Tak bym chciał już umrzeć” — serce mi się rwało na strzępy [...] Nagle dźwignął się z po-

duszek. Sama napół przytomna, zobaczyłam parę dziwnych ruchów rękoma koło piersi, potem raptem złożył ręce na brzuchu wyprężył się na wznak zadarłszy głowę jakoś tak dziwnym teatralnym gestem, że osłupiałam i zaczął intensywnie, srogo, z napięciem patrzeć w sufit szeroko otwartymi oczyma. Chwyciłam go w ramiona, ale już nie reagował na moje słowa. Złapałam rękę, tętna już nie było. Wtem, o zgrozo, dolna szczeka opadła: Coś jeszcze szeptałam: „Stachu, Stachuniu, nie zostawiaj mnie” — aż nagle zrozumiałam, że to śmierć. Ogarnął mnie tak samo prawie śmiertelny spokój. Poszłam do Frani i powiedziałam: „Już koniec”, na co popadła we właściwy prostym ludziom, obrzędowy lament i płacz. Ja byłam dalej spokojna tym strasznym spokojem, jaki nas nawiedza w obliczu nieodwracalnej klęski. Kazałam Frani wezwać Kowalewa, a ją samą wysłałam do Bogusiów. Była zdumiona, że nie boję się zostać sama ze Zmarłym. Ja miałabym się bać zostać ze Stachnem! Sama byłam nawpół umarła. Kiedy poszli, sama obwiązałam ukochaną głowę ręcznikiem, by przymknąć biedne usta. Przyszedł lekarz Pogotowia, młody bałwan i baran z olbrzymią latarką elektryczną w rękę. Nic ludzkiego — drewno. Stwierdził zgon.

Potem zaczął się chaos wydarzeń właściwych podobnym okolicznościom. W czasie pół godziny wysłałam depesze do Huberta, do Anny, posłałam Kowalewa do Bronków Linke. Śmierć nastąpiła około piątej rano, cały atak nie trwał godziny. Jurek, Ela i Kowalew pozawiadamiali większość znajomych i powysyłali depesze [...].

Rozpacz została tym razem wyrażona przede wszystkim za pomocą środków niebezpośrednich — głównie poprzez relację z faktu.

Pozostawiając do szczegółowej analizy w innym miejscu oba te sposoby pisania przez Dąbrowską o rzeczach w jej życiu najistotniejszych, można tylko zauważyć, że na dzisiejszym czytelniku większe wrażenie robi ten drugi opis.

Należy jeszcze wspomnieć o wielkim uspokojeniu, doskonale oddanym językowo przez Marię Dąbrowską w ostatnim zapisie jej dziennika, zrobionym kilkanaście dni przed śmiercią. Nie można bez wzruszenia czytać zdań o wyśnionym powrocie do krainy dzieciństwa:

8 V [1965] [...] Popołudniu głęboki spokojny sen, bez koszmarów — Sen o obfitości, a obfitością tą był wskrzeszony Russów — Russów tamtych snów jakby przez fantastę pastelami wymalowany — Pojawiła się najstarsza oraz niższa część dworku — brałam miarę na okiennicę w pokoju babci, gdzie miała zamieszkać nasza gosposia Teonia (rodzaj Jasi) — Kto byli ci my co mieli tam zamieszkać — nie wiem dokładnie — ale ktoś był ze mną arcybliski — wszechobecny, a nieodczuwalny jak powietrze — I wszystkie drzewa dzieciństwa stanęły na swoim miejscu — wszystkie jaskółki a nadto wielka obfitość gęsi, bydła, owiec, świniaków różowych czochrających się, zwalających się czystych i pachnących nie chlewem ale smażonym boczkim — wogóle pachniały wszystkie cudowne potrawy, za którymi tak tęsknię, kształsząc się tą mdłą strawą szpitalną. Była to najbardziej Russowska Russowość [...]

Ta, tak bardzo widoczna, ewolucja języka, którym Dąbrowska pisze o wydarzeniach najistotniejszych, jest także świadectwem tego, że początkowe intuicyjne, a po części wzorowane na języku literatury młodopolskiej, używanie

środków językowych zmieniło się w świadome i celowe posługiwanie się nimi. Analiza całości tekstów dziennika pozwoli na udowodnienie tej tezy przez porównanie różnorodnych zjawisk językowych występujących w zapisach autorki. Chodzi między innymi o takie kwestie, jak zakres używania słownictwa potocznego i starannego, charakterystyka składni różnych typów wypowiedzi, a przede wszystkim operowanie różnymi formami podawczymi, z wyraźnym zróżnicowaniem ich języka, co pozwala traktować dziennik, co najmniej w jego części powojennej, jako świadomie konstruowane dzieło literackie.

Tej ostatniej kwestii należy poświęcić nieco uwagi.

Zasadniczą formą wypowiedzi w dzienniku jest, oczywiście, narracja od autorska. Ma ona postać zapisu w 1. osobie l. pojedynczej i jest prowadzona stylem, co do którego należy sądzić, że jest stylem autorki-narratorki, spontanicznym albo świadomie wypracowywanym, o czym już była wcześniej mowa. Jednakże oprócz tego Dąbrowska stosuje inne formy podawcze. Przytaczając wypowiedzi lub sądy innych osób używa zwykle mowy zależnej: „Anna powiedziała mi, że przy pierwszym podaniu o jego ułaskawienie było 150 podpisów prostych ludzi z Zagnańska, którzy wszyscy kochali tego chłopca” (6 I 1954), choć czasami w analogicznej sytuacji pojawia się mowa niezależna: „Pamiętam, jak już 5-go marca, gdy wyjeżdżałam z domu, Anna powiedziała ze zdziwieniem: «A rząd nie wrócił jeszcze z Moskwy». (jeździli tam na ów XX Zjazd partii)” (16 III 1956). Pojawia się też mowa pozornie zależna, wówczas gdy autorka relacjonuje wypowiedzi lub sądy swoich rozmówców, na przykład: „Zegnając się zapytałam o sprawę pani Krzyżanowskiej. Na księżycowym obliczu premiera wyraz szczerzego zdumienia i zakłopotania. *Żadnego mego listu nie dostał i o niczym nie wiedział*” [wyróżnienie kursywą — A.M.]; tekst wyróżniony to stwierdzenie Cyrankiewicza, a nie autorki; albo: „Wtedy [prof. Doroszewski] opowiedział mi zakulisowe sprawy słownika i nagle zrozumiałam rzeczy, które zastanawiały mnie w czasie zebrania. *Otóż ściślejsza redakcja Słownika, a przede wszystkim on sam, mają wrogów w IBLu, z którego rekrutuje się znaczna część szerszego komitetu redakcyjnego. Ci ludzie [...] są głównymi rzecznikami i autorami takiej postaci Słownika, jaką zademonstrował nam Zeszyt Dyskusyjny. Oni to przeforsowali ów znikomy procent źródeł literackich, oni usiłowali wyrzucić wogóle ze Słownika poetów, oni nafaszerowali go szpetną polszczyzną cytując z prasy i z tekstów urzędowych itp. W trakcie tej ich roboty pojawiła się rozprawa Stalina o językoznawstwie. Wówczas natychmiast zmienili pogląd, a że ów antyliteracki, prasowo-polityczny charakter był już początkom słownika nadany, poprostu odzegnali się od Zeszytu Dyskusyjnego i usiłując odpowiedzialność za wszystko złe zrzucić na Doroszewskiego*”. Sąd wyróżniony tu przez zapis kursywą jest raczej sądem rozmówcy niż autorki, która dopiero w trakcie rozmowy dowiedziała się o istocie konfliktu.

Bardzo często w zapisach powojennych (po roku 1945, przedtem zupełnie wyjątkowo, na przykład w 1922 r. jako rekonstrukcja opowieści gościa, kolegi męża pisarki) pojawia się dialog, który Dąbrowska rekonstruuje jako zapis swojej rozmowy z interlokutorem albo rozmowy między osobami trzecimi.

Jest charakterystyczne, że język każdej ze stosowanych form podawczych jest zróżnicowany; autorka nie tylko oddaje cechy języka rozmówców (w dialogach pojawia się zarówno język pisarzy — trzeźwych i pijanych, działaczy partyjnych, rodziny i przyjaciół autorki, jak i język „zwykłych ludzi” — kierowców, służących, robotników itp., przykłady podam w dalszej partii omówienia), lecz także stosuje elementy różnych stylów w partiach ściśle narracyjnych.

Tę właściwość języka dzienników Dąbrowskiej należy rozpatrywać w dwu aspektach. Przede wszystkim język opisów wydarzeń życia codziennego zmienia się z wpływem lat i — można to tak ująć — staje się coraz bardziej codzienny, choć staranny. To zapewne wynik „dojrzewania językowego” autorki i — jak należy sądzić — świadomej pracy nad zapisywanym tekstem dziennika. Spontaniczny pozostaje tylko, jak się wydaje, sposób zapisu dotyczący takich spraw, jak codzienny jadłospis czy przyjmowanie lekarstw. Ale już emocjonalny opis stosunków między autorką a Anną Kowalską i jej córką (na przykład: skargi na zachowanie obu pań) wymagałby dokładniejszej analizy. Choć przy pierwszym czytaniu robi on wrażenie zapisu spontanicznego i niekomponowanego językowo, to nie można jednak wykluczyć, iż był stosowany świadomie, dla wywołania odpowiedniej reakcji przyszłego czytelnika, a nie tylko po to, by dać upust gwałtownym emocjom autorki.

Należy jednak odróżnić język notatek o wydarzeniach codziennych od języka fragmentów dotyczących rozważań społecznych i światopoglądowo-filozoficznych; w tym drugim przypadku pojawiają się elementy stylu publicystycznego lub naukowego, w zależności od tematyki zapisu. Trzeba też wspomnieć o, rzadkich, co prawda, fragmentach pisanych stylem podniosłym, dotyczących spraw najistotniejszych w życiu społecznym czy osobistym autorki.

Pora ukazać na przykładach to bogactwo odmian językowych i stylistycznych, zawarte — a w większości z pewnością świadomie wypracowane — w dzienniku Marii Dąbrowskiej. Należy się zgodzić z sądem Tadeusza Drewnowskiego o kunszcie językowym dziennika, który to sztuka — a można też dodać: kształtowanie się i rozwijanie polszczyzny autorki aż do osiągnięcia na kartach dziennika formy godnej polecenia także w dobie współczesnej — jest jednym z ważkich argumentów za opublikowaniem całości tego dzieła Marii Dąbrowskiej.

Język zasadniczych, narracyjnych partii dziennika należy określić jako staranną polszczyznę codzienną. Jak wspomniano — zmienia się ona w ciągu lat. W początkowych rocznikach dziennika Dąbrowska pisze dość skrótowo (liczne są równoważniki zdań i zdania pojedyncze) o wydarzeniach zewnętrznych, używając polszczyzny codziennej, chciałoby się powiedzieć nienacechowanej, ale już potocznej. Tam zaś, gdzie snuje rozważania ogólniejsze — na tematy społeczne czy też osobiste, widać elementy polszczyzny jeszcze dość uwikłanej w manierę młodopolską. Przykładem mogą być zapisy z roku 1921:

2 Styczeń [1921] W wilię N.Roku nie wychodziliśmy nigdzie, ponieważ byłam chora. Jadzia z Marianem palili świeczki na choince, ja miałam gorączkę. Nikt

mi nie był bliski i dusza moja była w niezmiernej głębi. Zasnęłam w bezbrzeżnie smutnym poczuciu tej głębokiej obojętności miłosnej, która mnie odpycha od Mariana, od tego czarującego Mariana, do którego wyciąga się tyle rąk, tyle serc i który mówi żartami straszną prawdę, że jest we mnie nieszczęśliwie zakochany. A przecież to jest człowiek mnie najbliższy i ze wszystkich w życiu najpewniejszy przyjaciel. Zdaje mi się, że życie nasze, stworzone do niespodzianek i natchnienia bezwiednie poddaliśmy zanadto rytuałom. Trza zgruntować, znurtować ten proces duchowy, który się we mnie pod tym względem dokonał, przejść nad nim do porządku, jeśli to jest fanaberia nerwów, lub zgoła odmienić życie. O dwunastej w nocy obudziły mnie salwy noworoczne żołnierzy. Odczułam tę chwilę przebudzenia w samo mgnienie Nowego Roku, jako strumień niezwyklej, ożywczej radości i Rok nadchodzący, jako rok Wiosny. Modliłam się do pana Boga, żeby mi dał znowu żartkość młodości, żeby mi się upajała każdą godziną życia i każdym miejscem ziemi jak podarowanym mi cudem.

[...]

2 II 1921. Mamy pogodę wiosenną. Działa to na mnie zawsze jak najwytrawniejsze wino. W sobotę 29.I żegnaliśmy pana Bolesława Giliczyńskiego, który nie chciał być dłużej w naszym Urzędzie, ponieważ jak mówi, rząd nasz nie ma żadnej wyraźnej linii politycznej ani gospodarczej w sprawach agrarnych i nie wie czego chce, a on nie ma możliwości wpływać na te rzeczy. Żegnaliśmy go w naszym dawnym biurze, w „domku pani Grabowskiej”, gdzie mieści się teraz Warszawski Urząd Ziemski. Było bardziej niż miło. P. Staniszewski mój towarzysz drugiej już pożegnalnej kolacji, przemiły. Flirt. Polonez do kolacji, wejście do białej świetlicy, kolacja więcej niż skromna i to właśnie bardzo przyjemne. Szczere przemówienia. P. Giliczyński wypowiada serce. Wtargnięcie „Włochów” z Nalewek i ich trzy włoskie pieśni. O sole mio. Wracam z pp. Staniszewskim, Giliczyńskim i Okołowiczem. [...]

W latach trzydziestych język zapisów nieco się zmienia. Z jednej strony w opisach wydarzeń niezwyklej (takim zdarzeniem było na przykład przyznanie Dąbrowskiej ważnej nagrody literackiej) staje się wypracowanym językiem literackim, z drugiej — w opisach innych wydarzeń (prywatnych, ale i publicznych) i reakcji na nie — coraz bardziej się upotocznia. Można to interpretować tak, że autorka dziennika już na tyle dobrze czuje się jako osoba zawodowo parająca się piórem, że w notatkach osobistych może się zdobyć na używanie określeń potocznych, a nawet pospolitych. Porównajmy dwa fragmenty dziennika z roku 1934:

1 I 1934. Poniedziałek. W sobotę w południe przyznano mi państwową nagrodę literacką. Wcale się jej w tym roku właśnie nie spodziewałam i nawet nie wiedziałam, że tego dnia odbywa się jury. Byłam rano na ślizgawce i stłukłam sobie kolano. Potem w mieście załatwiłam sprawunki i wracałam z myślą, żeby wyjąć telefon i skończyć tego dnia bardzo trudny 13 rozdział. Ku mojemu zdumieniu i zupełnemu osłupieniu zastałam w domu fotografów i dziennikarzy, którzy przypuścili do oszołomionej taki szturm, że nawet się nie spostrzegłam jak zoperowali mnie i uzyskali wywiady, przed którymi cały rok się broniłam. Stach potem bardzo się na mnie gniewał, tak że nawet wpadłam w rozpacz, ale zdaje mi się, że on nie ma słuszności. Nie znoszę wywiadów, choruję po nich

poprostu, nie odpowiadam za nic, co popiszą, ale stawiam się w położenie tych ludzi, którzy w ten sposób jak umieją pełnią swoją powinność — dla których zwłaszcza w takiej okazji to jest kwestja ich dziennikarskiego honoru. [...] Rano przeżyłam moment przeczytania ogłoszonych wywiadów jak moment choroby. Ale okazały się stosunkowo możliwie przyzwoite, tak że nawet Stach zmiękł. Potem znów telefony, trochę kwiatów, depesza od Zdziechowskich — ludzie są dla mnie b. dobrzy. [...] We wszystkich pismach moje fotografie, artykuły, niektóre bardzo gorące, albo wzmianki chłodne (Robotnik i Kur. Warsz.) Nagrodę przyznano mi jednomyślnie, wszyscy członkowie jury postawili moją kandydaturę. Zastanawiam się, jakie motywy pchnęły do tego Kadena i mam co do tego dwie hipotezy. Cieszę się, ale jestem poddana niepokojem, ponieważ Hela ma mieć jutro operację i napisała taki smutny list, wprost ze łzami [...].

8 II [1934] Czwartek. Nad wieczorem Janowa (stróżka) postawiła mi bańki. Potem wzięłam cryogénine, w nocy spotniałam jak mysz i dziś czułam się cały dzień już prawie zdrowa (z wyjątkiem uszu), ale wieczorem znów dostałam temperatury. [...] W Gazecie Polskiej dziś plugawe gęby Pierackiego i Michałowskiego. Nic nie byłoby dziwnem zobaczyć te facjaty w rubryce policyjnej, w albumie najgorszych mętów. Przemówienie Michałowskiego plugawe moralnie jak gęba — mimo wielu pozorów słuszności. Prócz tego w tejże gazecie aż w dwu miejscach radość z powodu secesyjnego nastroju młodzieży N.D. A przecież ten secesyjny nastrój, to hitleryzm najczystszej wody. Tak więc wszystkie te źródła — komunizm, faszyzm, hitleryzm, obwiepol i bebeizm — są istotnym objawem jednego i tego samego nieuchronnego najścia barbarzyństwa z rządami klik. Świat na to, niestety, zasługuje.

W pierwszym fragmencie znajdujemy takie określenia, jak: „ku mojemu zdumieniu i zupełnemu osłupieniu”; „przypuścili do oszołomionej taki szturm”; „nawet się nie spostrzegłam”; „zoperowali mnie i uzyskali wywiady”; „Zastanawiam się, jakie motywy pchnęły do tego Kadena i mam co do tego dwie hipotezy”, pochodzące ze starannej polszczyzny pisanej. W drugim rzucają się w oczy sformułowania potoczne: „w nocy spotniałam jak mysz”; „facjaty”; „rządy klik” i pospolite na granicy wulgarności: „plugawe gęby”; „najgorsze męty”. Należy sądzić, że wszystkie wymienione środki językowe zostały użyte celowo, z pełną świadomością ich wartości stylistycznej i emocjonalnej; wskazują na to kontekst całych notatek dziennych.

Swoistym „cofnięciem się” językowo-stylistycznym autorki jest styl notatek z okresu okupacji hitlerowskiej. Tu Dąbrowska wraca do zapisów skrótowych, często przyjmujących formę równoważników zdań, czasem aż tak zaszyfrowanych, że sama — jak przyznaje przy przepisywaniu notatek okupacyjnych — nie mogła po wojnie zrozumieć, o jakie wydarzenia chodziło. Taki styl jest całkowicie zrozumiały i adekwatny do sytuacji, w której zapisy powstawały; względy bezpieczeństwa determinowały językowy kształt dziennika. Przekształcił się on w rejestr stanu pogody i opis codziennych czynności, z rzadka uzupełnianych informacjami o stanie psychicznym autorki:

4 I [1942] Niedziela. Na dworze odwiłż — Nie wychodzę wcale z domu. Obiad w domu. W dalszym ciągu strasznie melancholizuję — O 5-tej przyszła Wandeczka i trochę mnie pocieszyła —

5 I [1942] Poniedziałek. Na dworze zupełna odwiłż — Rano u dentystki. W domu — Na obiedzie — Popołudniu przyszedł Malczewski — Wysyłam list do Anny — Byłam w księgarni i w Ziemiańskiej z p. Nikodemskim — W dalszym ciągu szalenie melancholizuję —

6 I [19]42 Wtorek. Do południa w domu — Na obiedzie. Stamtąd do p. Zofji Nałk. W domu. Przyszła p. Rajska, potem pani Paślawska — która została na kolacji. Na dworze rano odwiłż, pochmurno, potem przejaśnia się i bierze lekki mróz —

7 I [1942] Środa. Rano w domu przygotowuję jutrzejsze pranie — Na obiedzie — W domu cerowanie i reperacje przed praniem. Wieczorem o siódmej zgasili nam światło. Borykaliśmy się przy świeczkach i lampce naftowej do wpół do jedenastej. O wpół do jedenastej światło znów przywrócili —

8 I [1942] Czwartek. Rano u lekarza — spotkanie z Nałkowską. Na dworze mróz — sadz — pięknie. Pijemy z nią kawę w cukierence Fuchsa — potem idziemy piechotą — do Wróbla, gdzie znów pijemy herbatę z ciastkami. Potem już aż do wieczora w domu, gdzie odbywa się pranie — dzięki czemu, obiad jedliśmy w domu.

[na marginesie ołówkiem:] Zastrzyki tyfusu płam.

9 I [19]42 Piątek. Cały dzień nie wychodzę z domu — Cała w rozmyślach i marnem samopoczuciu — Obiad jemy w domu — Popołudniu p. Małynicz na czarnej kawie — Na dworze 5 mrozu i cały dzień śnieg pada.

10 I [19]42 Sobota. Pięć stopni mrozu, pogoda lekko pochmurna — Rano w Urzędzie Skarbowym płacę ratę podatku — W domu. W „Społem”. W księgarni — na poczcie — wysyłam moje książki do Anny — Na obiedzie — Popołudniu w domu — w stanie coraz się pogarszającej dezorganizacji duchowej — Któż mnie z rozbicia pozbiera — ja sama już nie mogę — Dopiero wieczorem po czarnej kawie — usiłuję się nieco zabrać do pracy — ale serce wali — wspomnienia lube się cisną — rozpacz wzbiera.

Charakterystyczne, że pierwsze lata powojenne nie powodują jeszcze powrotu do rozbudowanych zapisów ani do dopracowanego literacko języka dzienników. Przeważają wpisy o charakterze notatek z wydarzeń i opisów odczuć, notatek — także w sensie stylistycznym — skrótowych i spontanicznych, choć już pełnych faktów i nazwisk, na przykład:

13 III [1946] Środa. I dziś nie było listu od Anny — Ja już od poniedziałku wysyłam do niej listy codzien. Kończę „przegląd prasy” do „W-wy”. O 3 ciej wychodzę do przymierzenia palta — O 6 tej poczułam się tak źle że położyłam się do łóżka.

Dziś w południe zjawiła się niespodzianie siostra Dzitki Grab. Wanda. Przyjechała z Mińska Białorus. gdzie przebyła 6 lat. Na przekór relacjom o żywych trupach wracających ze Wschodu, wygląda jak krew z mlekiem.

14 III [1946] Czwartek. Rano dziennik londyński wręcz alarmujący — Kiedy słuchać Londynu a potem Warszawy (czyt. Moskwy) to widać jasno, że to nie sojusznicy rozmawiają ale śmiertelni wrogowie — Atmosfera jest bodaj cięższa niż w czasie Monachium. Ale o Boże, jak nie chciałoby się przeżywać trzeciej wojny.

Około 1 szej wyszedłszy z domu zobaczyłam że cała Polna obstawiona jest wojskiem. To Tito miał tędy przejeżdżać do Belwederu — O tej wizycie dowiedzieliśmy się z dzien. londyńskiego — Nasze gazety niczym tego nie zapowiadały. Widziałam ten przejazd. Mknęło ze czterdzieści zamkniętych limuzyn. Popołudniu jeździłam do p. Millerówny, ale niema jeszcze tych kartkowych materiałów. Szkoda, myślałam że dam prof. Mant. dla Anny. A listu od Anny dziś też — nie było. Na ulicy słyszy się wciąż rozmowy o możliwościach trzeciej wojny. Wieczorem kąpiel.

20 III Środa 1946. Znow miałam zły tydzień neurasteniczny, beczynny, zrozpaczony. W poniedziałek przysły dwa listy od Anny, z których jeden znow mnie trochę zdenerwował swoją beczelną afrontacją [?] — W sobotę jeździliśmy z Jurkiem na Pragę do Manteuffłów, którym dałam paczkę i list dla Anny i do radja po przyznany mi odbiornik radjowy —

Przedwczoraj miałam przykry incydent z Millerem, który się na mnie obraził za krytykę (trochę ostrą) materiału do 1 go nr. „Warszawy”. Nie mogę pracować z ludźmi, którzy nie są moimi absolutnymi przyjaciółmi. Stanowczo się też — z „Warszawy” wycofam.

W niedzielę i poniedziałek były dwa pierwsze od dawna słoneczne dni — Dziś znow pochmurno. Wczoraj i dziś jak zwykle nocuje u nas Wanda. Dziś rano u przymierzenia sukni i płaszcza — potem rejestruję odbiornik radjowy. W domu zastaję Lucię, co mnie zawsze wprowadza w zły humor — Po obiedzie znow przychodzi Nula Szymanowska. Jak wykrzesać w sobie „dobroć” (á la Anna) dla takich ludzi.

Najdojrzałe językowo są zapisy w dzienniku mniej więcej od początku lat pięćdziesiątych aż do śmierci pisarki. Te piętnaście lat przynosi teksty, o których można powiedzieć, że są językowo dopracowane, tworzone ze świadomością wartości ekspresywnej i stylistycznej używanych środków. Są to przede wszystkim środki z rejestru polszczyzny starannej, ale codziennej, nie stroni też Dąbrowska od określeń dosadnych, a w partiach nacechowanych ekspresywnie — nawet wulgarnych. Przeważa odczucie doskonałego opanowania przez autorkę zarówno składni, jak i leksyki polszczyzny, i świadomego dobierania odpowiednich do tematu i sytuacji środków językowych.

Kolejne wpisy dziennika czyta się jak fragmenty celowo komponowanej prozy artystycznej, pisanej nie „dla siebie”, lecz dla przyszłego czytelnika. Oto (z konieczności bardzo krótkie) próbki, oddające język tych partii dziennika Marii Dąbrowskiej:

6 I 54 Środa. Warszawa. W sobotę wieczorem wyjechałam z Wrocławia. Do chwili, kiedy Wojtek Ostr. poszedł po taksówkę, śpiewaliśmy kolendy. P. Marysia Chrzan. szczęśliwa, że się jej udało wykorzystać odjazd Ewy dla obarczenia jej paczką dla Adama w Wałbrzychu (w nocy smażyła dla niego pączki), była zupełnie jak inna kobieta. Promieniała, śpiewała aż miło, zapomniawszy o chorobie. Tylko Tulcia zupełnie pozbawiona nie tylko głosu i słuchu, ale i jakiegokolwiek upodobania do muzyki, kręciła się pod drzewkiem w milczeniu, raczej znudzona i zniecierpliwiona tym śpiewaniem, a i wogóle jakaś osowiała i ponura. Rano bardzo nieuprzejmie pożegnała się z Ewą, która była dla niej cały czas anielsko dobra.

Anna odprowadziła mnie na kolej. Nie było ani jednego tragarza, perony ciemne, co robiło bardzo przykre wrażenie. Podróż miałam komfortową, bo byłam sama w przedziale, nic jednak nie spałam, trapiąca jakimiś bólami kiszek czy żołądka. Pociąg przyszedł punktualnie, zastałam w Warszawie duży śnieg. Wyglądała i Franja przywitani mi serdecznie i uprzejmie. Poczulałam się u siebie, poczułam z łagodną rezygnacją, że tylko jeszcze samotne bytowanie na Polnej jakoś do mnie pasuje. Innego szczęścia już nie będzie. Ale wróciłam chora i cały dzień przeleżałam, a nawet w znacznej części przespałam. Popołudniu miałam temperaturę 37 i pięć. Nazajutrz już minęła. Krzątałam się z dobrym samopoczuciem, ale zarazem z rozpaczą, że moja zdolność do pracy nie wraca. Nic nie wykonałam na porę. Zamordowała mnie ta sprawa Leszka Illga. To na nią jestem chora. Anna powiedziała mi, że przy pierwszym podaniu o jego ułaskawienie było 150 podpisów prostych ludzi z Zagnańska, którzy wszyscy kochali tego chłopca. Teraz jego matka donosi mi, że inspekcja polityczna obozu karnego, w którym siedzi, zapoznawszy się z opinią o nim, kazała władzom obozu napisać podanie, które ma sama wnieść do sądu. Leszek Illg jest autentycznym „pozytywnym „bohaterem”. I takiego, gdy go dotknęła tragiczna katastrofa, bije się po łbie, łamie moralnie, a z ową kandydatką na chuligankę, której cyniczny „dziennik” drukowany w „Nowej Kulturze” zrobił wątpliwą sławę, patyczkują się i obnoszą jak z cackiem, ministrowie wzywają „autorkę” i otaczają ją opieką. „Moskwa sliozam nie wierit”. Głosy z dołu, domagające się „troski o człowieka”, humanizmu, prawdy i sprawiedliwości, nie dochodzą do zawrotnych wyżyn władzy ludowej. To boli. Zapomniałam dodać, że rano w poniedziałek przyjechał Hernas i przywiózł wiadomość: że w pół godziny po powrocie Anny z Dworca zjawił się Adam. Ale matka małą miała z niego pociechę, bo zaraz zwałił się spać, wstał późno i kiedy Hernas wieczorem wyjeżdżał, on jeszcze nie wrócił do domu z całodziennej eskapady na miasto. Czujący synek. Hernas tego samego dnia po jakiejś konferencji wyjechał do Wrocławia. Wysłałam na miasto poraz pierwszy dopiero wczoraj, żeby się ostrzyć i zrobić manicure, bo już wyglądałam jak wilkołak. Na dworze duży mróz, dziś 11 stopni — pogoda.

Rzuca się w oczy swoboda w operowaniu środkami z różnych rejestrów języka i takie ich skomponowanie, że tworzą spójną całość, a nie kakofonię stylową. Mamy tu bowiem elementy stylu książkowego („gdy go dotknęła tragiczna katastrofa”), oficjalnego („inspekcja polityczna obozu karnego”), wiele sformułowań z polszczyzny nienacechowanej (wspólnoodmianowej, na przykład: „Ale wróciłam chora i cały dzień przeleżałam, a nawet w znacznej części

przespałam”), ale także elementy potoczne („bije się po łbie”; „patyczkują się i obnoszą jak z cackiem”; „bo zaraz zwałił się spać”). Fragment nie jest pozbawiony elementów ironii („Głosy z dołu, domagające się «troski o człowieka», humanizmu, prawdy i sprawiedliwości, nie dochodzą do zawrotnych wyżyn władzy ludowej”; „Ale matka małą miała z niego pociechę, bo [...] jeszcze nie wrócił do domu z całodzienną eskapadą na miasto. Czują synek”) i dystansu wobec siebie („Wysłałam [...], żeby się ostrzyć i zrobić manicure, bo już wyglądałam jak wilkołak”). Jest odwołanie do innych tekstów („Moskwa sliozam nie wierit” — piosenka rosyjska) i nawiązanie, w formie uzupełnienia, do początku własnego tekstu dotyczącego tego dnia („Zapomniałam dodać, że rano w poniedziałek przyjechał Hernas...”).

Przytoczę jeszcze parę fragmentów dzienników lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, żeby pokazać ich konstrukcję językową, analizę formalną zostawiając wszakże do innych, późniejszych opracowań:

7 V [1952] Środa. Rano u pani Olkuśnik, przymierzam kostjum z chińskiej jedwabnej surówki, kupionej w zeszłym roku. Wracając zobaczyłam na Koszykowej wynędziałą babinę z koszem petunii różowych, w kolorze takich sobie, ale jako okazy niezwykle pięknych, wspaniałe, zdrowe krzaki z okazałymi liśćmi, z olbrzymimi kwiatami. Zrazu minęłam ją, ale pomyślałam, że nie znajdę już przed wyjazdem czasu, aby jeździć i szukać kwiatów na balkony. Wróciłam. Miała zaledwie 5 doniczek i chciała drogo (po 10 zł. doniczka), ale zdecydowałam się. Pomogłam jej przynieść ten kosz na Polną. Trzy posadziłam w jadalnym, dwie w pokoju Stacha, a teraz Anny. „Grały” jak zeszłorocznych z dziesięć albo więcej. Babina obiecała mi popołudniu dostarczyć jeszcze sześć doniczek. Przywozi to z Piaseczna. Sama jest od trzech lat ciężko chora na miedniczki nerkowe po ropnym zapaleniu. Straciła w czasie wojny całą rodzinę — męża, synów, częściowo w Oświęcimiu, częściowo w powstaniu.

Aby posadzić te petunje, musiałam przerobić całą ziemię w skrzynkach balkonowych, bo dotąd była nietknięta. I przemieszać ją z nową ziemią, kupowaną w kilku nawrotach przez Franię na halach, gdzie w przeciwieństwie do lat dotychczasowych, baby sprzedają dużo ziemi, a drogo. To jest ziemia czekoladowej barwy, mocno próchnicowa, ale obawiam się, czy dobra dla kwiatów, bo prawdopodobnie to jest poprostu ziemia z lasu, a raczej — boru sosnowego, albo — co byłoby gorzej — z torfowiska. Boję się, czy nie jest kwaśna. W ciągu godziny przerobiłam ziemię na obu balkonach i posadziłam petunje już przy pierwszych kroplach deszczu. Szła burza. Grzmiało, ale tak jak w tym roku zawsze przy burzy — nie było błyskawic. Deszcz niby lunął rześście, a jednak po burzy musiałam skrzynkę u Stacha — najbardziej wystawioną na deszcz — podlać jeszcze z polewaczki. Około szóstej zjawiła się owa kobiecina z nowym ładunkiem petunii. Więc i te posadziłam i zamówiłam jeszcze sześć doniczek na jutro. Frania była przerażona moim tempem.

15 II [1957] Piątek. Przedwczoraj zadzwonił Słonimski, że mamy iść do Premiera, by mu przedstawić uchwały i dezyderaty Zjazdu. Prosił mnie i Annę. Zgodziłam się skwapliwie, bo chciałam się czegoś dowiedzieć o moim liście w sprawie odzyskania przez panią Michalinę Krzyżanowską jej pracowni malar-

skiej. A że Jurek ma już wreszcie prawo jazdy, a korzysta jeszcze z urlopu przedmagisterskiego, więc pojechałyśmy obie autem, zrobiłyśmy „furorę”, bo cała reszta delegacji: Brzechwa, Słonimski, Jastrun i Rusinek stali już przed portalem Urzędu Rady Ministrów (al. Ujazd. 1-3) i „podziwiali” nasze przybycie. Jureczek był pyszny jak paw. Delegacja odbyła się gładko, Cyrankiewicz ustosunkował się pozytywnie do wszystkich naszych dezyderatów, czy to w praktyce coś przyniesie? Raczej wątpię. Żegnając się zapytałam o sprawę pani Krzyżanowskiej. Na księżycowym obliczu premiera wyraz szczerego zdumienia i zakłopotania. Żadnego mego listu nie dostał i o niczym nie wiedział. Rzekł jednak uprzejmie: „To najlepiej będzie, jeśli skieruję do pani dyrektora gabinetu, Mrugalskiego. Pani jemu sprawę opowie i on już tego najlepiej dopilnuje”.

W pierwszej chwili byłam bardzo speszona, że listy adresowane osobiście do Cyrankiewicza go nie dochodzą, ale że jestem niecierpliwa, nie chciałam czekać na telefon od owego Mrugalskiego (nazwisko jak z humorystyki Prusa) tylko zaraz po powrocie do domu do niego zadzwoniłam. On też (co już mnie ostatecznie zdziwiło) nic nie wiedział, zaproponowałam, że mu wyślę kopię mego listu, powiedział, że zaraz po to przyśle. Ale nie miałam chęci posyłać tekstu pierwotnego, gdzie pomyliłam imię pani Krzyżanowskiej, więc siadłam pisać tekst na nowo. Jeszcze go nie skończyłam, kiedy przyjechał szofer z Urzędu Rady Ministrów, musiał chwilę poczekać. Z emocji nie poprawiłam błędów literowych i zostało „pan Premiar”, ale byłam kontenta, że sprawa pójdzie wreszcie w ruch. [...]

12 I [1962] Piątek. Pierwszy to raz od lat byłam wczoraj na tzw. „proszonej kolacji”. Chociaż ważniejsze od jedzenia są: rozmowa i towarzystwo — tu obie strony przyjęcia były godne uwagi — Tak smacznej kolacji nie jadłam od czasów, gdy miałyśmy Bogucką, która była prawdziwą mistrzynią kuchni —

Podano tylko pasztet z zająca i pieczeń z polędwicy wołowej z drażonymi kartofkami i krajany w kostkę obsmażonymi selerami i pieczarkami, ale wszystko było wprost idealnie przyrządzone i rozpływało się w ustach — I ja co mam ostatnio słaby apetyt, a zwłaszcza wstręt do mięsa (właśnie do nie dość mięsnej naszej obecnej kuchni) pałaszowałam aż mi się uszy trzęsły i dobieierałam wszystkiego po dwa razy — piłam nawet trochę alkoholu, a nic a nic mi potem ta kolacja nie zaszkodziła, przeciwnie okazała się bardzo strawna. Kiedyś przed wojną u mnie na Polnej bywały takie świetne przyjęcia —

Słonimscy mają ślicznie i pomysłowo urządzone mieszkanie — trochę antyków a przecież nowoczesne — Takie mieszkania udają się zwłaszcza u Polaków żydowskiego pochodzenia, i w dodatku artystów „antycyganeryjnych” [...].

Na uwagę zasługują też te fragmenty pamiętnika z lat po drugiej wojnie światowej, w których Dąbrowska przytacza wypowiedzi innych osób. Pisane mową niezależną — ujmowaną przez autorkę w cudzysłowy — pojawiają się albo jako element wtrąceń dialogowych w partiach narracyjnych, albo jako przytoczenie rozmowy prowadzonej z autorką bądź w jej obecności. Dąbrowska wyraźnie stara się zachować właściwości językowe i stylistyczne wypowiedzi osób, które są cytowane.

Dość często autorka dziennika przytacza rozmowy z osobami „z ludu” — swoimi służącymi, szoferem, robotnikami fabryki, do której chodziła w ramach

„zbliżania pisarzy z klasą robotniczą”. Dąbrowska oddaje wówczas polszczyznę tych ludzi, co wywołuje efekt cytatu z polszczyzny środowiskowej w języku inteligencji i w konfrontacji z nim, na przykład:

Frania, która także oglądała Murzynka [lalkę], rzekła nagle: „Tam gdzie myśmy mieszkali, na Kruczej, był też taki. Ja nie wiem, czy to Murzyn, czy jaki, ale też był czarniutki na twarzy i nos taki miał płaski. I zębami i oczami tak błyskał. Ale on był katolik. I żonę miał Polkę. Tom go widywała w kościele. To tak było, że gdzie stanie, to zaraz dzieci go obstąpią i na niego patrzą. To gdzie on się ruszy, to te dzieci za nim i tak na niego patrzą. I ludzie też patrzyli, a on się modlił. A w powstanie to on się bił.”

— „Jakto — „się bił”?

— No bił się. Wstąpił do AK i bił się jak wszyscy — mówi Frania.

— A co się z nim stało? Czy zginął? Czy ocalał?

— Tego to ja nie wiem. Ale wiem, że się bił z Niemcami. Że był w AK to wiem”. Taka była przypowieść Frania o warszawskim powstańcu Murzynie. (20 III 1949; przytoczenie rozmowy)

Poszła [Frانيا] jednak w końcu na to nabożeństwo z prymasem. Pojechała 14-ką i wróciła o wpół do 11-tej. „Cóż, widziała Frania prymasa?” — „Widziałam. Ładny. Ale co tam ludzi było, co ludzi! To taki tłok w tym kościele, to tak się człowiek tylko bujał, naprzód i wtył. Przy ołtarzu tom go też w tym tłoku nie widziała. Tylko takie radja były na kościele, to wszędzie było słyhać jak odprawia. Dopiero jak szedł od ołtarza, tom go widziała. To te kobiety z takimi sztandarami tak się do niego darły przez ten tłok! „Puście — wołają — puście! Niech nam te chorągwie pobłogosławi!” To potem ledwo mnie tam z tego tłoku wybujalo, i wyszłam. Tam ludzie gadali, żeby jeszcze czekać, jak będzie odjeżdżał. A drudzy mówili, że nic nie wiadomo, bo jeszcze samochód nie przyszedł, bo może będzie tu jadł śniadanie. Ale ja już nie doczekałam”. Oto czym żyją masy, których zaufaniem tak pysznił się na kongresie „zjednoczeniowym” pan minister Minc. (20 III 1949; wtrącenie dialogowe do partii narracyjnej)

Mowa służącej jest przekazana przede wszystkim za pomocą oddania (czy: naśladowania?) składni mówionej polszczyzny potocznej, z powtórzeniami, elementami okazjonalnymi („Tylko takie radja były”; „To potem ledwo mnie tam z tego tłoku wybujalo” itp.).

Mówiona polszczyzna staranna jest oddana przez Dąbrowską w relacji z jej pierwszej rozmowy z Bolesławem Bierutem. Tu pojawiają się wyłącznie konstrukcje gramatycznie skończone, choć wypowiedzi zawierają elementy potoczne („oczkami strzelała pani”; „ja się też podsuwałam”), co sprawia, że — zgodnie zresztą z tekstem odautorskim zawartym między cytatami wypowiedzi rozmówców — dialog nabiera charakteru niezobowiązującej, swobodnej rozmowy towarzyskiej:

Gdyśmy wreszcie do niego dotarli, zanim jeszcze zdążyłam usta otworzyć, zaczął mówić trzymając moją rękę w swojej, ogromnej jak narzędzie: „Bardzo się cieszę, że mogę odnowić z panią znajomość z przed czterdziestu lat”. Wiedząc, że za młodu wychowywał się u Papieskich w Lublinie, bąknęłam: „Chyba w Lu-

blinie?”. „Tak, pani mnie nie pamięta, ale ja panią dobrze pamiętam”. Ja znowu: „To tak dawno i byliśmy tacy młodzi” (a w istocie rzeczy nigdy żadnego Bieruta w Lublinie nie poznałam) Na co Bierut: „Tak, pani była młoda, oczkami strzelała pani do chłopców”. Tu już wpadam w ten ton i mówię: „No, i chłopcy do mnie”. „Tak, tak, ja się też podsuwałem, ale pani była taka otoczona, więc bez powodzenia. A od tego czasu znałem już panią tylko z książek”. „To — mówię — może [kilka słów skreślonych] jest najważniejsza znajomość z pisarzem. Osoba jest zawsze mniej interesująca”. „A nie, nie, przyjemnie jest poznać i osobę”. Na tym skończyła się moja jedyna rozmowa z kimś ze świata naszych dzisiejszych władz najwyższych. (2 V 1952)

Perełką językową (choć nie tylko językową, także kompozycyjną i w ogóle literacką) jest miniscenka reportażowo-dramatyczna z przyjęcia w Belwederze w czerwcu 1954 r. Dąbrowska po mistrzowsku odtwarza (po roku od wydarzenia) zachowanie językowe pijanego poety, niemal oddając nawet intonację jego wypowiedzi i kontrastując coraz bardziej pijacki bełkot z pełnymi zażenowania ripostami innych uczestników rozmowy.

Przypomniało mi się zeszłoroczne przyjęcie u Bieruta w Belwederze z okazji Zjazdu Literatów, które miałam swego czasu opisać i zaniedbałam tego, teraz tu jego przebieg odnotowuję.

Było to w czerwcu. Jakoś tak wyszło, że siedziałam przy stole z Bierutem. Koło mnie z lewej strony Anna, z prawej rosyjska delegacja na nasz Zjazd — jakiś krytyk z „Litieraturnoj Gaziety”, podobny do Gogola. Za Anną Würmser, łódzki Żyd, reprezentujący na Zjeździe literaturę francuską, zresztą miły i na Zjeździe dorzecznie przemawiał. Naprzeciw Anny siedział Bierut, koło niego naprzeciw mnie — Broniewski, przy nim Simonow; w szczycie stołu Kruczkowski przypominający mi zawsze ugotowaną rybę. Z drugiej strony Bieruta — Kierczyńska, przy niej — Boguszewska.

Broniewski przyszedł już pijany i zataczał się chodząc po salonach Belwederu. Dziwne, że nie wygłaszał peanów na cześć Piłsudskiego, bo ma ten zwyczaj, kiedy się znajdzie w Belwederze. Tym razem inną sztukę wódka z niego dobyła. Jego zapijaczona mazurska gęba była czerwona i obrzmiąta, dziecinne niebieskie oczka zapłnięte alkoholycznymi łzami. Już nie mógł trafić do gęby i wylewał na siebie wino. Czulił się do Simonowa i opowiadał mu treść nieistniejącej noweli Żeromskiego. Pomięszały mu się „Doktor Piotr” o córce, co wyszła za Moskała i opowiadania o pannie, co z każdym spała. Słowem opowiedział jako nowelę Żeromskiego historię panny, „co się tak zeświniła, że wyszła za Moskała”.

Potem zaczął dyskurs z Bierutem, nazywając go: „towarzysz Bolesław” z akcentem, po rosyjsku, na ostatniej sylabie. W jakiejś chwili zaczął wołać z uporem na cały stół: „Wy chcecie, towarzysz Bolesław, żebym ja napisał nowy tekst do hymnu narodowego. Ja to potrafię. Ja jeden! Ale ja hymnu narodowego nie będę zmieniał. Nie będę, bo nie mogę! Bo nie chcę!”. Po chwili: „Bo to tak, jakbym orłowi polskiemu urwał głowę.” Bierut z początku próbował z nim dyskutować na ten temat: „No, czemu, słowa są przestarzałe. Nie odpowiadają już żadnej treści życiowej. A melodia jest dobra.” Na to Broniewski znowu to samo, dosłownie jak wyżej. W końcu Bierut zaczął go mitygować: „No, dobrze, dobrze. Nie chcecie, to nie napiszecie nowego tekstu”. Ale Broniewski już z uporem maniaka

zamilka na chwilę i znów swoje: „Ja hymnu narodowego nie będę zmieniał. Bo nie mogę. Bo nie chcę.” Patrzy na mnie maślanym wzrokiem i zaczyna swoje „Bo nie chcę. Bo nie mogę” przeplatać równie maniacko powtarzanym: „Pani Mario, pani mnie rozumie. Pani wie, pani rozumie”. Przynoszą kawę. Nic nie wiedząc, co robi, wylewa potężną filiżankę kawy na obrus. I znowu: „Pani Mario, idę do pani. Muszę pani coś powiedzieć” „Panie Władysławie” — powiadam — niech pan siedzi — Ja i tak słyszę, co pan mówi”. „Nie. Ja muszę do pani przyjść. Powiedzieć”. Wstaje. Wylewa na stół nowy kieliszek wina. Obchodzi naokoło stół, staje za moim krzesłem i nagle klęka: „Panie Władysławie, niech pan wstanie. Co pan wyrabia?” — „Ja nie roz-rabiam. Ja pani muszę powiedzieć. Pani mnie zrozumie. Ja hymnu narodowego nie będę zmieniał, Bo nie chcę! Bo nie mogę!” W tym miejscu podszedł od sąsiedniego stołu Czeszko (też pijany) i dokąś Broniewskiego odciągnął. Bierut dał hasło do przejścia się po parku. (23 VII 1955)

Uderza dojrzałość narracyjna Dąbrowskiej, doskonała kompozycja fragmentu i jego dopracowanie stylistyczne, co pozwala przypuszczać, że autorka potraktowała ten fragment jako autonomiczną całość, mikroskopijny utwór literacki, z pewnością przeznaczony do czytania, a nie tylko będący „odnotowaniem dla pamięci” pewnego wydarzenia.

Niekiedy rozmowy są w dzienniku odtwarzane jako tekst gatunkowo mieszanym: częściowo w formie przytoczenia cytatów, częściowo zaś w mowie zależnej, a także w mowie pozornie zależnej. W taki sposób relacjonuje na przykład: Dąbrowska swoją prywatną rozmowę na tematy społeczno-filozoficzne z małżeństwem Modzelewskich:

Modzelewski powiedział na to, że być może skreśleń nie było, ale było dobieranie i eliminowanie materiału pod pewnym kątem widzenia. Na to ja: „Wedle myślenia dialektycznego każdą rzecz trzeba rozpatrywać we właściwym jej czasie i w odpowiednim do tego czasu układzie sił społecznych. Według tego, co mnie wiadomo nie dobierano materiału w żadnym razie pod kątem przypodobania się sanacji. Ale gdyby nawet w wyborze prac do wyróżnienia podlegano pewnym wpływom ówczesnych okoliczności, to naskutek czysto ludzkiej, z punktu widzenia marksizmu zrozumiałej, zależności każdego ludzkiego działania od mnóstwa wpływów z zewnątrz. Przecież i dzisiaj robi się to samo. W materiale Pamiętników zebranych przez PIW i Polskie Radio napewno eliminowano materiały, może nieraz bardzo wartościowe, ale nie całkiem odpowiadające dzisiejszej linii politycznej. O ile mi wiadomo, do wyróżnienia i do druku zakwalifikowano tylko Pamiętniki komunistów i b. członków SDKPiL. A przecież nie wszyscy robotnicy, którzy pisali na konkurs byli komunistami. Co więcej, komuniści i esdekapeilowcy stanowili znikomy procent ogółu polskich robotników. A więc i tu materiał dobierany jest pod pewnym kątem widzenia, bynajmniej nie odzwierciedlającym całej prawdy o polskim proletariacie. Może dopiero konfrontując te wszystkie punkty widzenia dojdziemy kiedyś pełnej prawdy.” Modzelewski z pewnym wahaniem i do pewnego stopnia zgodził się z tą moją nader oględną argumentacją.

Potem mówiliśmy o pesymizmie Czechowa. Gdy Modzelewska zastanawiała się, jak taki okrutny i ponury pisarz mógł być tak dobrym, miłym i łagodnym czło-

wiekim, powiedziałam, że pesymiści są zawsze raczej łagodni, dobrzy i mięccy: optymiści natomiast są w życiu czy osobistym, czy społecznym okrutni i posępni. Owładnięci wiarą w idealną szczęśliwą przyszłość ludzkości, gotowi są dla tej optymistycznej przyszłości zabijać, mordować, dręczyć nieszczęsnych, teraz żyjących, ludzi, bo cóż to wszystko znaczy wobec „optymistycznej” wiary w doskonałą przyszłość, dla której warto ponosić najsrozsze męki albo skazywać na nie.

Pani Natalia nazwała tę całkiem banalną i znaną wszystkim ludziom zachodu myśl — genialnym odkryciem.

Stąd przeszliśmy na ideał doskonałego ustroju komunistycznego i absolutnie szczęśliwego w nim społeczeństwa. Znowu mówiłam banały i aksjomaty w rodzaju, że z punktu widzenia naukowego nie istnieją i nie mogą istnieć rzeczy absolutnie doskonałe. Ale jeśli by nawet przypuścić istnienie takiej świetlanej i doskonałej przyszłości uwarunkowanej tym, że kilka pokoleń będzie się męczyć i wyrzekać wszystkiego na rzecz tego przyszłego pokolenia wybranych, to czy owo pokolenie uszczęśliwione męką i wyrzeczeniami poprzedzających je milionów — nie będzie miało charakteru wielkiego wyzyskiwacza już nie warstw i klas, ale całych pokoleń ludzkości?

Modzelewski półgębkiem przyznał, że tak to trochę jest. Ale nie wiele zdaje się rozumiał, bo dodał: „Na tym polega rozwój. My też korzystamy z doświadczeń poprzednich pokoleń.” Gdy mnie idzie nie o doświadczenia pokoleń, ale o ich mękę i wyrzeczenia na rzecz jakiejś dowolnie wyimaginowanej przyszłej szczęśliwości, zastępującej w marksizmie wiarę w zbawienie wieczne. Wedle mnie (może to jest we mnie psychika protestancka) najlepiej przysługuje się przyszłości takie pokolenie, które najlepiej, najmądrzej, najszczęśliwiej przeżyje dany sobie czas.

Po chwili jednak Modzelewski, jakgdyby coś zrozumiał, rzekł: „I kto wie, zresztą, czy to idealne społeczeństwo przyszłości będzie z nas zadowolone? Może powie: co ci idjoci chcieli i do czego dążyli? my wszak potrzebujemy zupełnie czego innego”. A tak niechący wypowiedział myśl przewodnią nieuznawanego przez bolszewików Dostojewskiego. A może chcący, może mu się poprostu to właśnie przypomniało. (24 VI 1951)

Trzeba przyznać, że ten zabieg stylistyczny jest w tym wypadku usprawiedliwiony nie tylko tym, że (prawdopodobnie) pisarka nie zdołała dosłownie zapamiętać całej długiej rozmowy (w cytaty ujęła z dłuższych tylko swoją wypowiedź), ale także tym, że czytanie wywodów filozoficzno-społecznych podanych w formie dialogu byłoby dla czytelnika nużące i mało przekonujące. Taki sposób oddania w dzienniku treści określonego typu świadczy więc także o świadomym wyborze formy językowo-stylistycznej, a to jest znaczącym argumentem na rzecz tezy, że Dąbrowska pisała dziennik (przynajmniej od lat pięćdziesiątych) z zamiarem opublikowania go w przyszłości, prawdopodobnie już przez spadkobierców.

Autorka doskonale zdawała sobie sprawę z odrębności gatunkowej dziennika, dlatego zapisy zawarte w jednym wpisie dziennym często dotyczą spraw o różnej wadze, różnej tematyce, różnym zakresie. W końcowym okresie swego dziennikopisarstwa Dąbrowska nie używa jednak różnego języka do ich odno-

towywania, wtedy gdy przyjmuje to formę narracji odautorskiej. Jest to, jak można z dużą dozą prawdopodobieństwa sądzić, zabieg celowy. A to, że dziennik czyta się dobrze, płynnie i z niesłabnącym zainteresowaniem, świadczy o trafności wyboru takiego jednolitego języka. Świadczy o tym na przykład następujący zapis:

2 III [1959] Poniedziałek. — Żle spałam (mimo intensywnych wczoraj spacerów), koszmarne sny — Były tak wyraziste, że nie zapisałam ich zaraz, pewna, że zapamiętam — A rano wszystko zapomniałam.

O wpół do siódmej wyszłam z Dylem na spacer — Gęsta mgła — o 20 kroków nic już nie widać. Dyl, który teraz nie zdradza żadnej skłonności do błyskawicznych ucieczek do Hołyńskich, nagle stanął, obrócił w przeciwną stronę i nie chciał ruszyć z miejsca — a nawet podreptał w odwrotnym kierunku. Pewna, że chce uciekać podeszłam, zaczął się kulić winowajczo, dał się wziąć na smyczę — Szedł teraz przy nodze, nie wrywając się naprzód, jak zwykle, gdy jest na smyczy — Ledwo uszliśmy kilka kroków naprzeciw ukazała się panusia z dwoma psami smokami, które znam — jeden z nich płowy wilczur trochę skundlony, nazwiskiem Miś — już raz o mało nie zagryzł Dyla, który tylko nieprawdopodobnej rączności swego biegu zawdzięcza, że uszedł jego paszczy — Jakoż i teraz owo psisko ruszyło ku nam cwałem przy akompaniamencie krzyków swej pani: „Miś do nogi! Nie rusz małego ładnego pieska. Ja cię znam ty łajdaku, zawsze się rzucaś na psy. Do nogi! etc. Staliśmy z Dylem przyciśnięci do siatki, Dyl schował się za mnie cały drżący —

Przeczekałiśmy aż Madame z Misiem odeszła —

Jaka pamięć w tym Dylu — i jaka szybka sygnalizacja wszystkich zmysłów — Bo już wtedy kiedy go posądziłam o chęć ucieczki, on poczuł, zobaczył, czy usłyszał zbliżanie się złowrogiego psiska —

Notatki porobione w nocy. Są dwie rzeczy esencjonalnie ludzkie — To zmysł humoru i niezadowolenie z istnienia — Żadnej z tych cech nie posiada żaden ustrój dyktatorjalny czy despotyczny — I właśnie w tym są nieludzkie —

Istnieją prądy, kierunki, szkoły literackie — i są pisarze. Mogą mieć nawet filjacje z tymi prądami — ale są więksi, wspanialsii, potężniejsi i trwalsi — Tak jak sosny czy dęby solitery — nie mogą się równać z gęsto rosnącymi drzewami lasu — nawet gdy należą do tego samego gatunku co las — choć las jako całość jest i piękny i potrzebny — Las wycina się masowo, co pewien czas — olbrzymich drzew samotnych nikt nie rusza — pokolenia przychodzą je podziwiać — Takim dębem samotnym czy odrębnym jest w lesie modernistycznej literatury mojego czasu — Conrad —

Bardzo dobra i potrzebna jest książka Helsinga: „Przybyszewski” — choć składa się głównie z cytat. Ale cytaty są świetnie zestawione i dają rzadko obfity materiał do poznania stylu i życia i twórczości „Młodej Polski” a częściowo i niemiecko-czeskiej moderny —

W dzisiejszej literaturze i w jej prądzie „współczesności” — najpodobniejszy we wszystkim do Przybyszewskiego jest Hłasko. Przybyszewski, który miał zwyczaj w ostatnich latach życia szeptać poufnie spotkanym literatom młodej generacji: „Wszyscyście ze mnie!” (co i mnie spotkało, choć nie znosiłam jego twórczości od 16 roku życia) — mógłby z największą słusznością szeptać to satanicznie pijany — pijanemu Hłascie —

O 11-tej przyjechała panna Hania z koksem — więc już do obiadu nic z roboty przy biurku — Za to popracowałyśmy z nią trochę w ogrodzie — Ku mojemu zdumieniu wszystko już rośnie, floksy, narcyzy, hijacynty — Więc jednak odrzuciłyśmy liście, żeby nie wyrastało jak zeszłego roku w żółto-brunatne pędy, które potem długo chorują — Ale strach przed mrozem, bo przecież jeszcze może przyjść luta zima —

Pies Tuli porobił w ogrodzie niepowetowane szkody, połamał pędy narcyzów i tulipanów — wciskając olbrzymie łapy w błoto połamał nawet pędy, które były jeszcze pod ziemią —

Koszmar — na który nie ma już rady — Trzeba to cierpieć do końca mego życia —

Pogoda kwietniowa — cicho, ciepło, jasno.

Po obiedzie od piątej do wpół do 10-tej odwaliłam jednak znaczną część pierwszego bruljonu szkicu o Conradzie —

Telefon z „Współczesności” — Nalegają o odpowiedź na ankietę.

Refleksje nad językiem dzienników Marii Dąbrowskiej nie byłyby pełne, gdyby nie poświęcić paru zdań ich formie zewnętrznej — ortografii i interpunkcji. Wydaje się, że autorka nie przywiązywała wielkiej wagi do zagadnień interpunkcyjnych, choć, oczywiście, podstawowe zasady przestankowania są w dzienniku przestrzegane. Jednakże szczegółowe zasady użycia na przykład przecinka są w wielu partiach tekstu naruszane. Autorka do końca życia stosuje ortografię sprzed roku 1936, zarówno w zakresie zapisu litery j (na przykład: stała pisownia: „rewja”, także: „kwestja”, „idjota” itp.), jak i w odniesieniu do pisowni łącznej i rozdzielnej pewnych wyrazów i wyrażeń (tu są widoczne zapisy realizujące czasem zasady ortograficzne jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej) czy do zakresu stosowania wielkich liter (od wielkiej litery pisze na przykład przymiotniki od nazw geograficznych).

Dąbrowska broniła praw autora do używania określonych form językowych i stylistycznych. W kilku zapisach złościła się na to, że niekompetentni korektorzy poprawiają, a raczej pogarszają językowo, jej teksty. Pisała na przykład:

Miałam tymi czasy mnóstwo zdenerwowania z powodu kretynizmu korektorów „Czytelnika” którzy považają się z głupotą „mały w kąpeli” poprawiać mój język, styl, składnię. Przy znajomości własnej języka polskiego nie wiele większej niż by mogła być u nieinteligentnych cudzoziemców. I przy najzupełniejszym braku wyczucia t.zw. ducha języka — nie mówiąc już o wyczuciu mojego stylu i sposobu pisania. (11 XII 1946)

Wiele miejsca poświęciła na polemikę z Andrzejem Kijowskim, który zarzucał jej błędy językowe w *Nocach i dniach*. Dąbrowska metodycznie udowodniła w polemice z nim na kartach dziennika (zapis z dnia 29 X 1962), że krytyk nie ma racji, że bardzo powierzchownie i po dyletancku potraktował tekst powieści. Mimo to zarzuty Kijowskiego niewątpliwie ją bolały, wracała do polemiki z krytykiem w kilku następnych zapisach dziennikowych. Uważała, że pisarz jest gospodarzem języka, a tajemnica języka dobrego pisarza wciąż jeszcze nie została odkryta przez badaczy. Pisała w dzienniku:

Stylistkom i gramatykom nawet się nie śni ile istnieje reguł pisania, które są tajemnicą pisarzy i ani weszły do podręczników teorii literatury czy stylu, ani nie zostały nawet przez uczonych badaczy zauważone [podkr. — M.D.]. Kto je wykryje i pod ich kątem zanalizuje język pisarzy ten będzie dopiero wielkim krytykiem, czy wielkim teoretykiem literatury.

Wielkie utwory literatury tym właśnie przestrzegającym przez pisarzy regułom pisania zawdzięczają znaczną część swego a nie tym regułom znanym ze stylistyki i gramatyki (4 V 1947)

Z pewnym dystansem odnosiła się do językoznawców. Zaangażowana w kwestię wydania nowego słownika języka polskiego (w 1951 r. wygłosiła obszerny referat na temat zawartości zeszytu próbnego), wycofała się z udziału w Komitecie Redakcyjnym, kiedy nabrała przekonania, że jej nazwisko i autorytet są wykorzystywane do rozgrywek personalnych i politycznych, niewiele mających wspólnego z troską o jakość nowego słownika (pisze o tym obszernie i z zaangażowaniem emocjonalnym na kartach dziennika z lat 1951 i 1954). Zachowała przy tym sympatię dla redaktora tego słownika, prof. Witolda Doroszewskiego⁹, a była ujęta tym, że „dla tego słownika «rozpracowano» całe słownictwo «Nocy i dni». Co mnie bardzo poruszyło” (15 X 1950). Miała jednak wrażenie, że językoznawcy uważają się za właścicieli języka, a po macoszemu traktują pisarzy. Pisała w związku z tym:

Ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że wszyscy ci lingwiści patrzą na nas, pisarzy, z pogardą jakby byli bogatymi właścicielami koni, których my tylko, niby dżokeje, dosiadamy. I ja, i Paweł Hertz dosyć zabieraliśmy głos w dyskusji, ale oni dyskutowali „na boku” między sobą, tak jakby nasze zdania zgola do nich nie docierały. I ciekawe — sami wygłaszali coraz to sądy i tezy stawiane właśnie przez nas na dyskusji akurat trzy lata temu, w szczególności podnosili kwestje, z którymi ja wówczas wystąpiłam. Żaden z nich jednak nawet nie wspomniał o ówczesnej dyskusji z pisarzami, ani o ich stanowisku. Tak jakby powoływać się na głos pisarza było czymś poniżej godności językoznawców, albo jakby wogóle nie znali tej dyskusji, choćby z jej częściowego przedruku w „Nowej Kulturze”. Może zresztą wistocie jej nie znali, zbyt lekceważący, aby ją czytać. (12 XII 1954)

Na kartach dziennika znajdujemy dowody, że Dąbrowska interesowała się polszczyzną jako tworzywem literackim, ale także jako mową różnych grup społecznych. W latach czterdziestych, w czasie okupacji, studiowała „staropolski język”, co miało pomóc uwiarygodnić język jej dramatów historycznych. Słyszała odrębności językowe Polaków z Kresów, choć nie umiała ich właściwie zinterpretować lingwistycznie:

Pochodząc z Litwy i większą część życia spędziwszy tam, albo w Rosji, pani Antonina mówiła niezwykle malowniczym i zabawnym polsko-litewsko-rosyjskim językiem. Żałuję, że nie zapisywałam oryginalnych zwrotów jej mowy, pamiętam

⁹ „Mimo że nie zawsze zgadzam się z Doroszewskim w rzeczach języka, w nim jedynym pośród rzeczoznawców czuję żywego człowieka. Może tu gra rolę i sympatia do jego powierzchowności, a nawet do jego sposobu zacinania się w mowie” (12 XII 1954)

tylko, że jak to często czynią Polacy z Litwy używała stale przy rzeczownikach pierwszego przypadku zamiast drugiego i czwartego i czasowniki w pierwszej osobie kończyła na „a”. Mówiła więc: — „Jutro postawia ta koronka”, lub — „zmienia ta watka”, mówiła stale „przyjdzie się zrobić to i to” i t.p. Zupełnie tak samo mówiła jej gospoia, Helena, pochodząca z zaściankowej szlachty polskiej na Litwie (uzupełnienia z 1943 r.).

Irytowała ją polszczyzna felietonów Wiecha, uważała, że psuje on język, zachwaszczając go rusycyzmami; być może (jako niewarszawianka) nie zdawała sobie sprawy z tego, że Wiechowskie rusycyzmy są autentycznymi elementami gwary miejskiej Warszawy:

W zespole programowym nie brak i [kilka słów skreślonych] Wiecha, tego mistrza złego smaku i niegodziwej karykatury języka, który nie jest ani polskim, ani rosyjskim, ani ludowym, ani podmiejskim, a niestety rozpowszechnił się przez popularność dowcipu Wiecha (31 XII 1947).

Na rusyfikację polszczyzny po drugiej wojnie światowej pisarka była szczególnie wyczulona, zwłaszcza jeśli rusycyzmy pojawiały się w języku pisarzy. Sądy jej były ostre:

W nowym numerze „Radia i Świata” jest wiersz Romana Sadowskiego do „kapitana Nikiforowa”, który pomagał odbudować Raszyńską stację nadawczą. W tym wierszu jest już świadoma (jak i u Wiecha) próba rusyfikowania języka polskiego. Ów poeta [słowo skreślone] nie używa już polskiego wołacza: „kapitanie”, lecz pisze: „Ej ty, kapitan Nikiforow, popatrz dobrze, ej kapitan”. Taka forma mogłaby jeszcze ująć w potocznej prozie w dialogu, ale nigdy w wierszu. (choć bez takiego kontekstu, w normalnej potocznej polszczyźnie używamy często nominatiwu zamiast wołacza) (9 XI 1948)

Putrament nie używa nigdy słów „Polska”, „Polacy”, a nawet „naród”. Mówi tylko „kraj”, „ten kraj”, „mieszkańcy tego kraju”. Aż chciało się zawołać: „Niech pan się nie krępuje i powie „prywiślińskiego kraju”. Jak w wielu rzeczach, tak i w języku wracany do terminologii z czasów carskiej niewoli, gdy także wolno było mówić i pisać jedynie: „kraj”. (14 I 1951)

Swoją powieść „Wrzesień” — jeden z najobrzydliwszych i najniechlujniej pisanych paszkwilów na Polskę, Putrament właściwie pisze po rosyjsku polskimi literami. Rosyjska jest składnia, rosyjska akcentacja zdań, żywcem z rosyjskiego brane garściami słowa: „wskoczył” „wskoczyli” (z krzesła), „niczegowata”, „wizgnęła”, „wizzy” etc. Najniższego gatunku somatyzm, wściekła nienawiść do wszystkiego, co nie było agenturą Rosji. (23 VI 1951)

Pisarka była też wrażliwa na innowacje i błędy językowe. Pod koniec życia pisała w dzienniku:

Rudnicki używa świadomie kochać w połączeniu z czasownikami, co odkąd używa się brzydkiego „kochać” w pięknym znaczeniu — było błędem językowymi np. Kocham siedzieć w domu, kocham chodzić, kocham zmieniać mieszkanie.

Nie twierdzą, że ta innowacja będąca wkładem żydowskim do polszczyzny, niema prawa się przyjąć — możliwe że to jest dobra innowacja (23 XI 1962)

Po prof. Doroszewskim jestem chyba największym liberałem językowym ale niektóre rzeczy nie przestają mnie razić jako błędy języka — Np. w przeczytanym właśnie „Erazmie” Huizingi w przekładzie Kureckiej na str. 197 jest zdanie: „Czemuż tak niemiłosiernie prześladujemy innych za błędy, skoro „każdy z nas nie jest wolny od pomyłek” — Jasne że zamiast „każdy” powinno być „żaden z nas” albo „nikt z nas” — W polskim języku w przeciwieństwie do wielu innych zachowujemy dwa przeczące określenia —

Ale to tak wadliwie użyte „każdy” zamiast „nikt” albo „żaden” powtarza się coraz częściej w całej prasie, a nawet wśród pisarzy — Może więc i to z czasem przyjmie się jak reguła — od której wyjątkiem było „ani” po którym w dawnej polszczyźnie już nie następowało drugie przeczenie — Ale teraz i ja już często używam „ani” z drugim przeczeniem, choć gdzie można staram się zachować dawną formę — np. „ani go widać, ani go słyhać” — Ale już powiem — „Ani go nie widuję ani go nawet nie znam” (choć dobrze byłoby: „ani go znam”) — Chyba zacznę pisywać listy do prof. Doroszewskiego — Może on moje uwagi w swoim poradniku językowym uwzględni — Jeśli nie obraził się na mnie za umieszczenie krytyki jego Słownika w moich „Pracach rozproszonych”. (7 VI 1964)

Lektura całości dziennika Marii Dąbrowskiej jest dla czytelnika dużym przeżyciem intelektualnym, a także estetycznym: to ostatnie właśnie ze względu na język tego utworu. Język używany świadomie i celowo konstruowany (stawiam taką tezę) dla przekonania przyszłego czytelnika do autorki, do jej wizji życia i świata. Dla językoznawcy język ten stanowi dodatkowe wyzwanie badawcze — tyle kryje się w nim możliwości interpretacyjnych, tyle wzorców językowych, że nie sposób nad nim przejść do porządku dziennego.

Nie mam wątpliwości, że ze względu na język dziennika Marii Dąbrowskiej dzieło to powinno zostać opublikowane w całości, bez żadnych ingerencji lingwistycznych. A wtedy, jak sugeruje to prof. Tadeusz Drewnowski, stanie się ono podstawą do dyskusji nad tym, czy język tego utworu może stać się wzorcem współczesnej starannej polszczyzny codziennej.

ON THE LANGUAGE OF MARIA DĄBROWSKA'S DIARIES

Summary

The article puts forwards the thesis that the language in most of Maria Dąbrowska's diaries was a conscious creation on the part of the writer and was not the result of a spontaneous recording of events and the author's experiences. It should also be assumed that Dąbrowska wrote the diaries with the view that they would later (probably posthumously) be published and that she consciously used that style and linguistic tricks. The diaries include not only the author's narrative but also direct and indirect speech, as well as seemingly reported speech. One can only admire Dąbrowska's mastery of language, whereby she was able to combine various linguistic and stylistic

elements in order to create a cohesive whole in specific entries in the diaries. The article also shows the evolution of the style of Maria Dąbrowska's diaries from the relatively unoriginal, youthful style of the diaries of the 1920s to the mature, original style of the diaries of the 1950s and 1960s. It also shows that the author — depending on the subject and its importance — used vocabularies for various registers of the Polish language: from academic and officialese, through careful standard Polish (most frequently), to colloquial and even vulgar language. Some attention is paid to the author's awareness of language, as well as her general attitude to both the language of her own works as well as to linguists. This article is only a preliminary study — the language of Maria Dąbrowska's diaries deserves detailed study.

Key words/słowa kluczowe

Maria Dąbrowska; diary / dziennik; language / język; style / styl; colloquialism / potoczność; reported form / formy podawcze; characteristic words / wyrazy nacechowane; language awareness / świadomość językowa; linguistics / językoznawstwo